

**THÉOPHILE
GAUTIER
KAPRYSY
I ZYGZAKI**

Przekład i postowie
Mateusz Kwaterko



Wycieczka po Belgii

I

Zanim przejdę do opisu mej tryumfalnej ekspedycji, powinienem, jak sędzę, przestrzec czytelnika, że nie znajdzie tu wzniosłych rozważań politycznych, przemyśleń na temat kolejnictwa, utyskiwań na pokątne przedruki¹ ani wreszcie dytyrambicznych tyrad ku czci wszystkich grubiućkich milionów zainwestowanych w szczęsnej Belgii, prawdziwym eldorado przemysłu; ograniczę sprawozdanie do tego, com widział na własne oczy, a ściślej rzecz ujmując, przez lunetę lub lornetkę, obawiam się bowiem, że własne oczy zwykły mi płać figle. Nie będę powielać informacji zaczerpniętych z przewodników turystycznych, cytować dzieł historycznych albo przytaczać wyimków z geograficznych opracowań, i jest to zasługa na tyle rzadka, że powinna wzbudzić powszechne uznanie.

¹ W XIX wieku belgijscy wydawcy, twierdząc, że prawa autorskie obowiązują tylko w ojczyźnie pisarza, przedrukowywali na masową skalę dzieła francuskich autorów (przypisy tłumacza).

To pierwsza wyprawa, jaką kiedykolwiek przedsięwziąłem². Wyniosłem z niej głębokie przeświadczenie, że autorzy literatury podróżniczej nawet nie zbliżyli się do opisywanych przez siebie krajów, a jeśli zabłądzili tam jakimś cudem, to dopiero wtenczas, jak by powiedział ksiądz de Vertot, gdy już zakończyli swoje oblężenie³. Różne literackie opisy Belgii, z którymi zapoznałem się po powrocie, wielce mnie zdumiały, tak szczerze nafaszerowano je fantazjami i poezją. Chyba nie muszę dodawać, że nie rozpoznałem w nich ani miejsc, które właśnie opuściłem, ani ich mieszkańców.

Teraz zaś, jeśli dociekliwy czytelnik pragnie poznać przyczynę, dla której udałem się nie gdzie indziej, ale właśnie do Belgii, chętnie mu ją wyjawię, nie zamierzam bowiem niczego ukrywać przed tym czcigodnym stworzeniem, które zwie się czytelnikiem. Wpadłem na ów pomysł w Luwrze, przechadzając się po galerii Rubensa. Widok tych nadobnych kobiet o pełnych kształtach, tych pięknych i tryskających zdrowiem figur, tych pagórków różowego ciała, po których spływają kaskady złotych włosów, wzbudził we mnie przemożną chęć skonfrontowania namalowanych postaci z prawdziwymi kobie-

² Gautier odbył opisywaną podróż po Belgii latem 1836 roku.

³ René Aubert de Vertot (1655–1735) – ksiądz i historyk. W pamięci potomnych utrwalił się przede wszystkim za sprawą pewnej anegdoty, którą puścił w obieg d’Alembert. Zdaniem encyklopedysty, gdy uczony historyk kończył opracowywać monumentalną historię Zakonu Maltańskiego, poinformowano go o istnieniu niezwykle cennych dokumentów na temat oblężenia Rodos, o których nie miał wcześniej pojęcia. Ksiądz Vertot miał wówczas jęknąć z rozpaczą: „Ale ja już zakończyłem oblężenie”.

tami w typie flamandzkim. Ponadto, jako że bohaterką mojej przysłej powieści zamierzam uczynić blondynkę, upiekłbym tym sposobem dwie pieczenie na jednym ogniu. Oto pobudki, które pchnęły uczciwego i niedoświadczonego paryżanina do chwilowego porzucenia kochanych rynsztoków z rue Saint-Honoré. Nie wyruszałem na Wschód, aby szukać kobiety wolnej, jak ojciec *Enfantin*: ruszałem na Północ w poszukiwaniu kobiety jasnowłosej; nie poszczęściło mi się zresztą lepiej niż wielebnemu *saintsimoniście*, byłemu Bogu, który przedzierzgnął się w inżyniera⁴.

Wiadomo, że paryżaninowi opuszczenie rodzimego miasta przychodzi z największym trudem; ludzka roślina wykorzystuje każdą szczelinę chodnika, aby głęboko zapuścić korzenie. Spędziłem dobre trzy miesiące na wymigiwaniu się od tej podróży, mającej potrwać dwa tygodnie. Dziesięć razy pakowałem i rozpakowywałem bagaże, rezerwowałem bilety na wszystkie możliwe dyliżanse; nie pomnę już, jak często żegnałem się z trzema lub czterema osobami, które posądzałem o to, że mogłyby zauważyć moją nieobecność; jako istota wrażliwa cierpiałem katusze z powodu powtarzalności tych patetycznych scenek, a żołądek dawał mi się we znaki za sprawą niezliczonych strzemiennych. W końcu, pewnego ranka, wymieniwszy pokazny stos miedziaków na nader niepo-

⁴ Prosper *Enfantin* (1796–1864) – francuski socjalista utopijny, teoretyk *saintsimonizmu*. Po śmierci mistrza wraz z *Saint-Amandem Bazardem* przekształcił szkołę w prawdziwy Kościół, następnie zaś, już bez *Bazarda*, w zamkniętą sektę, każąc się tytułować „najwyższym Ojcem”. W 1833 roku przybył do Egiptu wraz z grupą inżynierów z zamiarem przekopania Kanału Sueskiego.

zorną kupkę ludwików⁵, chwyciłem samego siebie za kołnierz i wyrzuciłem się za drzwi własnego mieszkania, polecając uprzednio koledze, który tam pomieszkiwał, aby strzelał do mnie jak do wściekłego psa, gdybym się zjawił przed upływem trzech tygodni; po czym skierowałem kroki ku złowrogiej rue du Bouloi, gdzie czekał już powóz.

Nie ulega wątpliwości, że wyjazd przyjaciela to dla duszy wrażliwej doświadczenie na wskroś bolesne, gdy jednak, uprzedziwszy o rychłej wyprawie, nie ruszamy z miejsca, w naszym otoczeniu narasta z wolna uczucie żywo przypominające niezadowolenie: na próżno uiszczacie wymaganą opłatę, poborcy mostowi nie pozwalają wam przejść przez Pont des Arts; stróż długo się ociąga, zanim otworzy wam drzwi; Paryż dość jednoznacznie wypycha was za próg, a własna sypialnia traktuje niczym intruza. Oto jak zostałem skarcony, gdy zapowiedziałem wyjazd do Antwerpii. Nawet pani mego serca, choć ubolewała, że te trzy tygodnie będą jej się niemiłosiernie dłużyć, dawała mi jednocześnie i bardzo wyraźnie do zrozumienia, że już dawno powinienem być w drodze.

Jeśli wasi przyjaciele parają się piórem, a przynajmniej uważają za odczytanych, wyprawa do Belgii pociąga za sobą kolejną niewygodę. Przywieź mi, złociutki, moją najnowszą powieść, mój ostatni tomik wierszy, nowego Victora Hugo, Lamartine'a, Alfreda de Musseta, katalog bibliograficzny Bruneta (cztery opasłe tomy *in octavo*,

⁵ Ludwik – w XIX wieku zwyczajowe określenie monety dwudziestofrankowej.

serdeczne dzięki!). Pamiętaj tylko, mój drogi, żeby do-
kładnie porozcinać strony, w przeciwnym razie celnicy
położą na tym łąpę... Zamówienia na trzy bite strony, lis-
ta dłuższa od *sono già mille e tre* Don Giovanniego i nikt
nie ma, rzecz jasna, dość taktu, aby wam wręczyć pełną
sakiewkę i pusty kufer na te wszystkie klamoty.

Ojciec, który towarzyszył mi aż do dylizansu, zacho-
wał się w tej doniosłej chwili nad wyraz godnie; wpraw-
dzie nie przytulił mnie do piersi ani nie obdarzył swoim
błogosławieństwem, ale też nie ofiarował mi nic inne-
go. Ja też sprawiłem się bardzo po męsku: nie uroniłem
choćby łyzy, nie padłem na kolana, żeby całować piękną
francuską ziemię, a nawet jąłem pogwizdywać, dość róż-
nie i fałszywie, jak to mam w zwyczaju, melodyjkę będą-
cą moim *lilliburello*⁶ i moim „Tirli!”⁷; cała odwaga mnie
jednak odbiegła, gdym ujrzał mych towarzyszy podróży,
a ściślej rzecz ujmując: towarzyszek. Były to dwie kobiety
w wieku wahającym się od lat dwudziestu dziewięciu do
sześćdziesięciu, o ekstrawaganckich kapeluszach, groź-
nie wyglądających rękawach, rozbuchanych fryzurach,
mało towarzyskich nosach, uzbrojone w najbardziej lu-
dożerczą i najnikczemniej rozwrzeszczaną ze wszystkich
zielono-czerwonych papug, jakie kiedykolwiek wpędziły

⁶ *Lilliburello* – siedemnastowieczny skoczny marsz irlandzkich loja-
listów, a także melodyjka, którą zwykł gwizdać Sternowski stryjaszek
Toby, słysząc jakąś absurdalną wypowiedź.

⁷ Aluzja do tekstu Heinricha Heinego *Podróż z Monachium do
Genui*. Berliński rozmówca autora na wieść, że ów wybiera się do Włoch,
„obrócił [się] trzy razy na jednej nodze i zaświergotał: – Tirli! Tirli!
Tirli!” (w przekładzie Jacka St. Burasa, „Literatura na Świecie” 3–4/2022,
s. 120). Później sam Heine przejmując ów *cri de guerre*.

w rozpacz poczciwego człeka uwięzionego w przedniej kabinie dyliżansu. Na ten widok moje brwi

wygięły się w straszliwy cyrkumfleksu daszek⁸

i poczułem, jak wypełnia mnie dojmujący smutek. Na szczęście znalazłem wolne miejsce w kabinie środkowej, dokąd czym prędzej przeniosłem się wraz z mym dzielnym druhem Fritzem⁹, o którym jeszcze nie wspominałem, ale wspominać zamierzam często, gdyż jest to najzacniejszy w świecie chłopak. Powóz ruszył, a gdy dotarliśmy do rogatek La Villette, mogliśmy powtórzyć za Rousseau: „Żegnaj, Paryżu, mieście błota, dymu i zgiełku”¹⁰.

Jakże ponuro przedstawiają się najbliższe okolice najwspanialszego z miast! Nie ma na świecie nic równie nędznego jak te sfłoczone wokół rogatek domy, których na wpół wyburzone ściany zachowują jeszcze czarne ślady przewodów kominowych, strzępy tapet, wyblakłe pozostałości farb; jak te opuszczone grunty poprzecinane kałużami i sfałdowane pagórkami śmieci. Ta dewastacja i brud uderzyły mnie szczególnie silnie w drodze powrotnej, gdy miałem jeszcze świeżo przed oczyma obraz czystych i schludnych miast flamandzkich.

⁸ Cytat z wiersza Alfreda de Musseta *Les secrètes pensées de Rafael, gentilhomme français* (Sekretne myśli Rafaela, szlachcica francuskiego); cyrkumfleks, czyli akcent przeciągły, to znak diakrytyczny w formie daszka.

⁹ Wielekroć wspomniany w tekście „Fritz” to Gérard de Nerval (właśc. Labrunie, 1808–1855), z którym Gautier przyjaźnił się od czasów szkolnych.

¹⁰ Dość swobodny cytat z *Emila, czyli o wychowaniu* Jana Jakuba Rousseau.

Postanowiwszy rzetelnie wywiązywać się z obowiązków, jakie ciążyą na pisarzu odbywającym malowniczą podróż, przytknąłem nos do szybki, aby zobaczyć, jak wiedzie się przyrodzie z lewej i z prawej strony. Dojrzałem wpierv znaczną liczbę pni drzew, których nie będę opisywać detalicznie, jako że na dłuższą metę mogłoby się to okazać nużące; owe pnie, których liściastym koronom nie zdołałem się przyjrzeć, cwałowały równie szybko jak konie zaprzęgu, błyskawicznie znikając w tyle, niczym armia rejterujących kijaszków. Zza tej ruchomej siatki przeświecały pola uprawne, wielobarwne zagony, kilka małych domków zwieńczonych strużkami dymu, rzędy topoli, kępy drzew owocowych, a także, na samym skraju, niebieski obrąbek wysoki na dwa palce; nad tym wszystkim unosiły się ławice chmur, siwe jabłkowite, ciągnące po niebie błękitnozielony tren, gdzieniegdzie gromadziły się śnieżne płatki, niczym topniejące bryły lodowe na podbiegunowych morzach. Niebo było piękne, pomalowane grubo, pociągnięte szerokim i zamasytym gestem. Za to ziemię uznać musiałem za mniej udaną; linie były chłodne, a kolory krzykliwe i niezbyt szczęśliwie dobrane: nie mogłem uwierzyć, że natura może się wydawać tak mało naturalna i tak bardzo przypominać brzydką, stołówkową tapetę. Niewykluczone, że zbyt częste oglądanie obrazów upośledziło mój wzrok i wypaczyło zdolność osądu, w każdym razie rzeczywistość sprawia na mnie często niezbyt szczególnie wrażenie: prawdziwy krajobraz wydaje mi się namalowany, i to dość lichy, jakby chodziło o niezręczne naśladownictwo pejzaży Cabata czy Ruisdaela. Ta myśl nawiedzała mnie kilkakrotnie, gdy przypatrywałem się przez okienko tym

wijącym się nieprzerwanie wstęgom czekoladowej ziemi oraz sznurom drzew wdzięczącym się najprzyjemniejszą szpinaczkową zielenią, jaką sobie można wyobrazić.

Malarza, który odważyłby się na takie przedstawienie listowia i gleby, zganiono by za brak n a t u r a l n o ś c i; wszystkie te widoczki zdawały się jakby wycięte foremką do ciastek i raziły wręcz niepojętą surowością, twardością i całkowitym brakiem perspektywy powietrznej: dekoracje teatru Gymnase¹¹ z trawnikami z sukna bilardowego, alejkami o barwie kawy z mlekiem i domkami odzianymi w nankinowe portki przypominają naturę w większym stopniu, niż się zazwyczaj sądzi.

Tyle o kolorze; co do formy, to wyobraźcie sobie niekończące się wstęgi ziemi przypominające długie i wąskie paseczki papieru, na których litograf Arnout przedstawia bulwary i pasaże: trudno o lepsze porównanie.

Gdy pokonywaliśmy dość niebezpieczną pochyłość, zauważyłem na skraju drogi skupisko niewielkich krzyży o dość posępnym wyglądzie. Wytłumaczono mi, że znaczą one miejsca, w których jacyś nieszczęśni pocztyni, spadłszy z konia, skręcili sobie kark, a sam dylizans wyrzucił się i potoczył do rowu, co pociągnęło za sobą straty w pasażerach i innych sprzętach. Objasnienie to wyrwało piskliwe krzyki z piersi istoty, którą z braku lepszych określeń możemy nazwać kobietą. Była w wieku nieprzyjemnym, oczy miała czarne jak węgiel, nos wstydliwie zaczerwieniony, a za jej główny powab należałoby uznać trzydzieści dwa zęby w barwie poźółkłej kości

¹¹ Mowa o istniejącym do dziś paryskim teatrze (obecna nazwa: Théâtre du Gymnase Marie-Bell) założonym w 1820 roku przy boulevard de Bonne-Nouvelle.